

**KIYOKO  
MURATA**

**KOBIETA,  
KTÓRA DAWAŁA  
PRZYJEMNOŚĆ**

**Z JAPOŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁ  
DARIUSZ LATOŚ**

**MARGINESY**

PUBLIKACJA DOFINANSOWANA Z GRANTU

The Japan Foundation

JAPAN FOUNDATION 

ゆうじょこう

YUJOKO BY Kiyoko Murata

COPYRIGHT © 2013 Kiyoko Murata

All rights reserved

Original Japanese edition published by SHINCHOSHA Publishing Co.,  
Ltd., Tokyo.

Polish language translation rights arranged with SHINCHOSHA Publishing  
Co., Ltd. through The English Agency (Japan) Ltd. and Anna Jarota Agency.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Dariusz Latoś

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2026

**D**ziewczynka, która przybyła wiosną tego roku z wyspy na południu, lat miała piętnaście.

Z ubrań na odchodne matka dała jej zawinięte w chustę furoshiki dwie sztuki podobne do szmat pozszywanych z mnóstwa starych skrawków, których miastowi nie uznaliby nawet za odzież, i jako bieliznę – kilka przepasek na modłę tych zakładanych pod kimono. To cały bagaż podróży, jaki miała dla córki, która opuszczała dom, by już nigdy nie wrócić.

Jej wyspę rodzinną z trzech stron otaczały urwiska – gdyby z nich spojrzeć w dół, pod powierzchnią morza widać było pływające niespiesznie żółwie. Zawsze trzymały się w parach lub trójkach, każdy większy od człowieka. Na wodzie malowały się jasne smugi, jakby wlano do niej mleka; to przez siarkę spływającą z górującego na wschodzie wulkanu, który w każdej chwili mógł wybuchnąć.

Dwa dni i dwie noce płynęła z tej wyspy na dalekim południu, zawijając do jednej czy dwóch przystani po drodze wokół zachodniego wybrzeża półwyspu Satsuma, a gdy dotarła do portu Misumi w Kumamoto, czuła się, jakby trafiła do obcego kraju.

Zeszła na ład. Wzdłuż ulic ciągnęły się rzędy wspaniałych domów, jakich jeszcze nigdy nie widziała. Zaprowadzono ją do wyjątkowo wielkiej posiadłości, do salki niedaleko przedsionka, gdzie siedziały już cztery inne młode kobiety. Każdej towarzyszył mężczyzna o groźnej minie. Ci wkrótce wyszli, a później zaczęto wywoływać je po kolei. W głębi, za fusumą\*, kryło się jeszcze jedno pomieszczenie. Tam kazano im iść.

Pierwsza weszła do środka i zasunęła za sobą drzwi. Po chwili usłyszały krótkie: „A!”. Nie był to krzyk, raczej zaskoczony głos wyduszony z zaciśniętego gardła. „Leż spokojnie” – rozległo się groźne warknięcie, musiał tam czekać jakiś mężczyzna. Potem przez jakiś czas nie odzywali się oboje, ze spowitego milczeniem wnętrza dobiegał jedynie cichy odgłos, coś jak szelest tkaniny.

Fusuma odsunęła się po około trzech minutach. Dziewczyna wróciła do salki z potarganą fryzurą, przed ubrania miała w nieładzie. Szła, podtrzymując jego zwiśające poły, i usiadła pod ścianą. Znów wywołano imię i nazwisko, następna weszła za drzwi. Znów rozległo się zaskoczone: „A!”, przez szpary dosłyszaly nawet zduszony krzyk.

Nadeszła pora – wywołano dziewczynkę z wyspy.

– Ichi Aoi!

Ichi przestraszyła się, jakby ktoś nagle uderzył ją w plecy. Wstała i po cichu weszła do drugiego pomieszczenia.

\* Przesuwany drewniany panel służący do dzielenia przestrzeni w tradycyjnym domu japońskim, może pełnić także funkcję drzwi (wszystkie przyписы pochodzą od tłumacza).

W środku, na pojedynczym posłaniu, siedział ze skrzyżowanymi nogami potężnie tęgi, piękny mężczyzna po pięćdziesiątce. Włosy miał natłuszczzone i czarne jak smoła, kimono gładkie i lśniące, cerę jasną, na policzkach zdrowy rumieniec – od razu widać, że każdy zakamarek jego ciała był doskonale odżywiony. Dla Ichi, wychowanej na biednej wyspie, właśnie takich ludzi określało się mianem pięknych. Jej ojciec był wychudzony i brzydki.

Mężczyzna machnął dłonią zapraszająco. Przyciągał ją do miękkiego bawełnianego posłania, była jak żaba zahipnotyzowana przez ślepią węża. Mgnienie oka później tamten położył ją na plecach, płynnymi, wprawnymi ruchami rozdzielił jej uda, wepchnął do środka ciepły palec, potem weszła w nią jego gorąca męskość. „A!” – Ichi otworzyła usta. Bolało.

Poruszał biodrami, jakby odliczał: raz, dwa, trzy, wyszedł przy dziewięciu czy dziesięciu. Potem wskazał podbródkiem w stronę drzwi, nakazując jej odejść. Była to inspekcja, jakiej właściciel domu publicznego poddawał każdą nowo kupioną kobietę.

Ichi wstała. Trudno było jej iść, nadal czuła, jakby miała coś w kroczu. Chwiejnym krokiem dotarła do drzwi i wyszła na zewnątrz.



Pokój, gdzie miały mieszkać, znajdował się na drugim piętrze.

Tam otrzymały przybory osobiste, pościel, ubrania. Wszystko, co przywozły ze sobą z domów rodzinnych, kazano im wyrzucić. Nowe kimona były piękne, na wyspie

Ichi nigdy nawet takich nie widziała. Pozostałe dziewczęta zarzuciły je sobie na ramiona i aż skakały z radości.

Ona jedna nadal była oszołomiona po dziwnym przeżyciu z pokoiku na parterze. I kimona piękniejsze niż najlepsze ubrania, jakie zakłada się z okazji Nowego Roku, i miękkie posłania – na wyspie wszyscy spali na siennikach, także słomą się nakrywali – była pewna, że te wszystkie zbytki ponad jej stan dostała właśnie w zamian za owo przedziwne zdarzenie.

To, co mężczyzna wepchnął jej między nogi, całe tamto niewiarygodne zajście – Ichi czuła, że to jest najważniejsze w całym tym wspaniałym domu, to wprawia cały budynek w ruch. Dlatego pracuje w nim tłum ludzi, dlatego kobiety się stroją, dlatego zapala się lampy i polewa ulicę wodą. Niczym król góruje nad tym wszystkim właśnie to, co jej... właśnie tamto.

Każda z nich mówiła we własnym dialekcie z mocnym akcentem.

Zostały sprzedane i przywiezione z Chikuzen i Chikugo na północy, z pobliskich Hizen i Higo, z półwyspów Satsuma i Ōsumi na południu oraz z wysp leżących jeszcze dalej, ponad pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża.

Gwary z rodzinnych stron były surowo zabronione. Gdyby pracujące tu kobiety używały ich po swojemu, i dla obsługi, i dla klientów byłby to jeden wielki chaos. Tutaj mówiło się w jednym, ustalonym języku. Narzecze Ichi wszystkim wokół przywodziło na myśl tylko jedno: gdakanie kury. Gdy się dobrze wsłuchać, przypominało dialekty z Satsumy i Ōsumi, choć nie do końca. Sprawy nie

ułatwiał fakt, że dla mieszkańców innych regionów były one praktycznie niezrozumiałe.

– Kokē, kō!

Tak wołała Ichi, gdy przywoływała którąś ze swych koleżanek, machając szybko dłonią. Reszcie zajęło aż pół miesiąca, zanim pojęły, że to przeraźliwe gdakanie oznaczało: „Chodź tu”.

Kiedy dostawały jedzenie w jadalni, wyciągała miskę i mówiła do kucharki: „Kō, kē”, czyli tyle co: „Tu mi nałóż”.

„Kō” znaczyło „to”, „kē” – „daj”.

„Kokē” – „tutaj”, a „kō” – „chodź”.

Sprawa komplikowała się jednak jeszcze bardziej, gdyż „kē” mogło też znaczyć „jedz”.

A że Ichi z natury była małowólna i gdy już się odzywała, używała niewiele ponad te kilka sylab, brzmiała zupełnie jak kura.

Ani jej, ani pozostałych dziewcząt nie skierowano od razu do pracy. Warzywa prosto z pola są jeszcze umorusane ziemią. Trzeba je najpierw oczyścić, oberwać brudne liście, umyć – i wyłożyć ładnie na straganie.

Dzielnice uciech rangi podobnej jak ta, w której się znalazły, w całym kraju dało się zliczyć na palcach jednej ręki – były to między innymi tokijska Yoshiwara oraz Shimabara w Kioto. Żadna inna na całym Kiusiu nie prosperowała równie znakomicie co ta tutaj, w Kumamoto. Właściciel domu publicznego, do którego sprzedano Ichi, nazywał się Mohei Hajima. Rządził on giełdą ryżu w osakijskiej Dōjimie; ponoć sama jego obecność sprawiała, że zapadała tam głucha cisza.

Gdy opuszczał Osakę, by powrócić do Kumamoto, wykupił kurtyzany najwyższej klasy z Yoshiwary i Shimabary, nie oszczędzając pieniędzy, i zabrał je ze sobą. Z tego też względu nowe nabytki przechodziły surowe szkolenie. Niektóre zostawały przydzielone do kwater oiran – przedstawicielki najwyższej klasy w tutejszej hierarchii, od których uczyły się makijażu, sposobu wystawiania się oraz poruszania.

Ichi trafiła pod opiekę pani Shinonome, najpopularniejszej kurtyzany przywiezionej przez Hajimę z Shimabary. Cały przybytek nazywał się zresztą tak samo – kobieta przynosząca największe zyski zawsze otrzymywała imię domu, w którym pracowała. Właśnie jej uczennicą została Ichi. Dlaczego dziewczynka, która nie potrafiła nawet mówić w żadnym ludzkim języku, dostała za mentorkę pierwszą spośród oiran? Odpowiedź była jasna: wystarczyło na nią spojrzeć.

Urodziła się na pełnej skał wyspie z wulkanem co rusz plującym pyłem, gdzie nikogo nie zdziwiłby widok stwora w rodzaju tych, którymi straszy się dzieci. Tamtejsi mieszkańcy wywodzili się z dwóch linii: od Kagoshimczyków o mocno zarysowanych szczękach oraz od członków rodu Taira o klasycznych, owalnych twarzach, których część trafiła w te rejony po przegranej bitwie morskiej pod Danourą. Ichi należała do tej drugiej.

– Mogłabyś być moją młodszą siostrą – mówiła Shinonome z uśmiechem, malując jej usta czerwienią błyszczącą jak metaliczny pancerz żuka tamamushi.

Ichi nie zdawała sobie z tego sprawy, lecz kosztowała więcej niż pozostałe dziewczęta, z którymi tu trafiła.

Nie chodziło jedynie o wygląd. Doskonale pływające wyspiarki były cennym towarem – zwłaszcza córki poławiaczek ama.

Wkrótce po południu pani Shinonome siedziała oparta przy oknie w swoich kwaterach i przyglądała się Ichi, która wycierała drewniane belki i filary, nadal ogorzała od słońca i wiatru znad morza. Przechodziła od jednej do drugiej lekko i cicho, poruszała się zupełnie inaczej niż chłopki z rolniczych wiosek.

One trzymały nogi szeroko, stawiały kroki w dwóch równoległych liniach, prawa, lewa, prawa, lewa. Jak jaszczurki. Natomiast wyspiarki, przyzwyczajone do pływania w morzu, uda miały złączone, stawiały stopy w jednej linii. I były ciasne.

– Co łowiłaś u was na wyspie? – Shinonome zwróciła się do pleców swojej podopiecznej.

– Kē, kēsō i io zem łowiła. – Ichi odwróciła się i odpowiedziała.

Nie brzmiało to jak ludzka mowa. Chodziło o skorupiaki, wodorosty i ryby.

Ichi wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Shinonome uniosła kąciki ust.

– Żadne „zem”. Łowiłam. Powtórz.

Powtórzyła.

– A jak się nazywasz? – zapytała oiran, drapiąc się po głowie końcówką ozdobnej szpilki do włosów.

Ichi spojrzała jej w oczy i z trudem przypomniała sobie imię, które cisnęła daleko w zakamarki umysłu. Mało brakowało, by zapomniała.

– Kojika.

Imię, które jej tu nadano. Wszystkie dostały nowe – Kogin, Kikumaru, Hanaji, Umekichi. Nie wiedziała, jak zapisać imiona towarzyszek. Pokazano jej znaki tylko własnego: znaczyły „mała” i „sarna”.

Dziewczęta musiały się wiele nauczyć.

Opanowanie technik miłosnych, jednego z licznych aspektów ich edukacji, było sprawą życia i śmierci – dlatego codziennie, gdy zjadły już śniadanie, poskładały wszystko w jadalni, skończyły porządki i pranie, do wczesnego popołudnia pobierały specjalne lekcje w ciasnym pokoju szczelnie wyłożonym posłaniami. Ich nauczycielka, Otoku, szkoliła je z bambusową miarą w dłoni.

Kobiety z tanich lokali nie miały szczególnych umiejętności, dlatego klienci przejmowali inicjatywę i dotykali ich ciał – najważniejszego towaru, jaki posiadały – ile tylko chcieli. W ten sposób kończyły z uszkodzonymi genitaliami, siniakami, szybko traciły siły i zdrowie. Otoku raz wchodziła w rolę klienta, raz w rolę pracownicy, demonstrując w praktyce i wpajając swoim uczennicom delikatne, finezyjne, wysublimowane, a niekiedy brutalnie intensywne techniki, dzięki którym kobieta może kierować mężczyzną wedle własnej woli.

Wszystkie patrzyły z zapartym tchem.

Schodząc schodami po jednej z takich wstrząsających lekcji, od których kręciło się w głowie, Ichi zobaczyła niebo. Zaraz poczuła, że gdyby tylko zdołała popfrunąć ku temu błękitowi, który rozpościerał się nad rzędami dachów, zanurkowałaby w nim niczym w morzu i płynęła w głębinę, która doprowadziłaby ją do wód u brzegów rodzinnej wyspy.

Ichi nie była jednak ptakiem. Nie mogła polecieć na wolność.

Nie mogła też opuścić dzielnicy bez pozwolenia – wejścia broniła wielka brama. Nigdy nie wyszła poza nią, dlatego myślała czasem, że może to Smoczy Pałac, podwodna siedziba boga mórz – tylko nie taka jak w legendach, lecz upiorna, bez pagrusów i fląder tańczących w wodzie.



„Idziemy!” – wołały jedna przez drugą, wychodząc z Shinonome, każda z zawiniętym w furoshiki pudełkiem z tabliczką do pisania, papierem, tuszem i kamieniem do rozcierania. Było niedługo po południu, zjadły już obiad, nastawała pora na lekcje w specjalnej szkole dla kobiet sprzedających swoje ciało. Otoku nagle wyszła za nimi i złapała Ichi za ramię. Dziewczyna pisnęła, a gdy tylko spuściła głowę i spojrzała na ziemię, skuliła się ze strachu.

– Gdzie z takimi nogami?!

Na wyspie nikt nie chodził w sandałach. Ichi patrzyła na swoje gołe stopy z szeroko rozczapierzonymi pięcioma krótkimi palcami. Gdyby poszła tak do szkoły, od nauczycielki też dostałaby burę.

– Butów to psy nie zakładają! Albo koty! – krzyczała Otoku.

Ale przecież na wyspie wszyscy chodzili boso. Mało tego, jej mama i starsze siostry, które poławiały w morzu, nawet po wyjściu z wody chodziły ubrane tylko w wąską przepaskę biodrową.

Mimo wszystko rozumiała, dlaczego Otoku się denerwowała. Żaden klient nie chciałby płacić za kobietę, która człapie gołymi nogami po ziemi.

– Co ty, pies? Kot? No chyba jednak człowiek!

Ichi pobiegła z powrotem po słomiane sandały, a potem poszła razem z pozostałą czwórką.

Placówka nazywała się Żeński Ośrodek Kształcenia Praktycznego. Była to szkoła dla prostytuttek.

Nad wejściem do eleganckiego murowanego budynku wisiał duży szyld z nazwą wygrawerowaną w drewnie. Szkoła została otwarta wiosną 34 roku ery Meiji, czyli tysiąc dziewięćset pierwszego, dwa lata przed pojawieniem się Ichi. Prasa donosiła, że na uroczystym otwarciu miejscowy naczelnik policji przemawiał do trzystu dwudziestu świeżo upieczonych uczennic: kobiet z okolicznych domów publicznych przyjmujących klientów oraz tych, które tylko im usługiwały.

Podzielono je nie wedle wieku, lecz wiedzy i umiejętności, na osiem klas nazwanych od kwiatów: śliwa, wiśnia, wiśnia podwójna, magnolia, piwonia, glicynia, ketmia i lespedeza. Uczyły się sześciu przedmiotów: moralności, czytania, pisania, wypowiedzi pisemnej, ikebany oraz szycia. Nie uczęszczały na lekcje codziennie, jedynie dwa dni w tygodniu, kiedy znalazły wolną chwilę.

Ichi i reszta trafiły do brzoskwiń – dodatkowej klasy dla nowych uczennic. Jeszcze nie pracowały, dlatego chodziły do szkoły niemal codziennie. Na ich poziomie nacisk kładziono na naukę pisania i wypowiedź pisemną. W dzielnicy uciech dwie najpilniejsze kwestie to bowiem pozbyć się dialektów nowych dziewcząt i nauczyć je po-

rzędnie kaligrafować pędzelkiem listy do klientów. Weszły do pierwszej, niewielkiej sali za przedsionkiem. Ustawiono tam długie niskie ławki, przy których siadało się po trzy osoby na cienkich słomianych plecionkach.

Dziewczęta pokłoniły się i grzecznie powitały nauczycielkę, po czym wyjęły tabliczki do pisania.

Była to kobieta po czterdziestce. Plotki mówiły, że podczas Restauracji Meiji, gdy upadł siogunat, jej ojciec, wasal Tokugawów, stracił wszystko i musiał sprzedać córkę do tokijskiej Yoshiwary. Trzymała się prosto jak struna, wysławiała nieco inaczej niż kobiety z tego miasta. Co więcej, na jej twarzy niemal nigdy nie było widać uśmiechu.

Nazywała się Tetsuko Akae. Dziś prowadziła zajęcia z pisma, dlatego długie rękawy kimona miała związane szarfą tasuki. Stanęła przed tablicą.

– Nauczymy się teraz nazw tego wszystkiego, co otacza nas na co dzień.

Zapisała kredą dwa znaki, poniżej ich czytanie.

– To jest słońce, które świeci na niebie – wyjaśniła. – Kiedy wschodzi rano, robi się jasno. Gdy zachodzi, zapada noc. Słońce jest źródłem światła. Sam widok tych znaków dodaje otuchy, prawda?

W taki właśnie sposób prowadziła zajęcia. Znów wzięła kredę i zapisała na tablicy następny znak.

– To księżyc, który widzimy na nocnym niebie, kiedy już zajdzie słońce. Pięknie świeci, ale pamiętajcie, że sam nie emituje światła, tylko je odbija – wyjaśniała.

Uczyła ich znaków jeden po drugim: góra, rzeka, drzewo, morze, woda, wiatr.

Ichi z jakiegoś powodu polubiła te dwa, którymi zapisywało się „słońce”, były masywne i efektowne. Ten natomiast, który oznaczał „księżyc”, wyglądał biednie, jakby zaraz miał się przewrócić, a wiatr mógł przelecieć przez niego na wylot.

Znak na „morze” był poplątany i trudny. Pewnie dlatego, że kryły się w nim skorupiaki, ryby, wodorosty, żółwie, delfiny i mnóstwo innych stworzeń. Właśnie tak: w okolicach jej rodzinnej wyspy pływały nie tylko żółwie morskie, lecz także stada delfinów. Były większe niż łódka jej ojca, ale oczy i pyski zawsze miały uśmiechnięte. Ichi tęsknie wracała myślami do dni, gdy pływała razem z nimi w morzu.

Nauczycielka znów wzięła kredę i zapisała znakami: tata, mama, starszy brat, starsza siostra, młodszy brat, młodsza siostra. Gdy wyjaśniła ich znaczenie, niektóre z uczennic zapłakały na wspomnienie rodziców, którzy zostali w ich wioskach.

– Wszystkie przyszłyśmy na świat dzięki naszym ojcom i matkom. Z takich, a nie innych powodów musiałyśmy opuścić rodzinne strony, lecz nie wolno nam żywić urazy. Kochającego rodzica boli to jeszcze bardziej niż was.

Pozostałe dziewczęta płakały cicho, a Ichi patrzyła na znak „mama”, który widniał pośrodku znaku oznaczającego „morze”. Miała przed oczami grupę poławiaczek, które nurkowały pośród przebijających się przez tafłę wody białych promieni słońca, ich nagie ciała bledsze od delfinów.

Racja, mama to ktoś, kto zawsze jest w morzu. Stworzenie zwane mamą, mniejsze niż delfin, większe od ryby.

W jednej chwili pływa lekko, jakby wcale nie miała ciężaru, a już mgnienie oka później nurkuje kilkadziesiąt metrów z prędkością wodnej trąby. Ichi nie potrafiła rozróżnić, która z kobiecych sylwetek odzianych jedynie w skąpą przepaskę biodrową należała do jej matki.

Bywały kobiety o dużych piersiach unoszących się w wodzie, lecz zdecydowana większość poławiaczek miała małe biusty i smukłe, muskularne ciała wyposażone jedynie w to, co niezbędne do nurkowania. Na łódzie matki wyglądały jak dziewczynki – ramiona miały szerokie od pływania, a ręce mocne, ale piersi piętnasto- czy szesnastolatek i brzuchy płaskie od ciągłego wstrzymywania powietrza jak młodzi mężczyźni.

Na znaki ćwiczone przez Ichi spadła pojedyncza łza.

– Teraz napiszcie znakami na tabliczkach swoje imiona i nazwiska. Ostatnio was uczyłam, więc wszystkie powinnyście już to umieć – powiedziała Tetsuko Akae.

„Ichi Aoi”, nabazgrała Ichi. Jej kreski wyglądały jak nierówny rząd drobnych, chudych rybek. Nie przypominało to znaków, raczej żyjątki, które na moment wstrzymały oddech. „To ja – myślała, wpatrując się w nie. – Cała ja, wszystko, co mnie spotkało. To, że opuściłam wyspę, to, że mnie tu sprzedano”. Cała jej osoba, wszystkie jej doświadczenia zamykały się w dwóch słowach: Ichi Aoi. Miała ochotę czule pogłaskać te znaki.

Jej sąsiadka po prawej napisała: „Setsu Matsuyama”. Ta po lewej: „Riu Tanaka”. Od kiedy tu trafiły, miały się przedstawiać nowym imieniem nadanym przez właściciela domu publicznego. Prawdziwe kazano im zapomnieć. A jednak tutejsza nauczycielka w pierwszej kolejności nauczyła je

pisać własne imię i nazwisko. Było to niezbędne, by potrafiły wyczytać z księgi rachunkowej, ile zostało im długu.

Pan domu, do którego sprzedano samą Tetsuko Akae, ponoć nie wiedział, co z nią zrobić. Była wykształcona, jak przystało na córkę samuraja, do tego pyskowała i swojemu nowemu przełożonemu, i klientom. Na dodatek miała ciemną cerę i wyjątkowo wydatne czoło, a pod jego nawisem kryły się małe, głęboko osadzone oczy, którymi patrzyła z niechęcią. Nikt nie chciał jej kupować, ale znała się na kaligrafii i czytała *Analekta* Konfucjusza. Ostatecznie skierowano ją do kuchni, pralni i prowadzenia ksiąg, aż odzyskała wolność, odpracowawszy okres dwukrotnie dłuższy niż pozostałe kobiety sprzedane na tych samych warunkach.

Potem trafiła do Hakaty na Kiusiu, gdzie znalazła zatrudnienie przy prowadzeniu rachunków w licencjonowanej dzielnicy uciech Yanagi-chō. Wtedy odezwał się do niej Mohei Hajima z Shinonome. Nikt lepiej od niej nie nadawał się na nauczycielkę w Żeńskim Ośrodku Kształcenia Praktycznego.

– Dobrze, teraz napiszcie imiona, które wam tu nadano.

Dziewczęta zmasały z tabliczek swoje prawdziwe personalia i wyskrobały rysikami nowe.

Ichi nie potrafiła sobie przypomnieć znaków, dlatego zapisała „Kojika” fonetycznie. Spojrzała do koleżanek – i Kogin, i Hanaji podpisały się co prawda brzydko, ale poprawnie.

– A ty? Przecież wczoraj was uczyłam – upomniała ją nauczycielka i napisała na jej tabliczce dwa duże znaki: „mała” i „sarna”.

– Ale ze mnie żadna sarna.

– Dostałaś takie, bo jesteś śliczna jak sarenka, powinnaś się cieszyć – pocieszała ją Kogin, czyli „małe srebro”.

Ichi nie wyglądała na zadowoloną.

Tetsuko kazała im schować tabliczki.

– Teraz wyciągnijcie papier i zacznijcie rozcierać tusz.

Nastała pora na stały element lekcji: pisanie dziennika.

– Nie starajcie się wymyślać nie wiadomo jak pięknych zdań. Piszcie, co wam przyjdzie do głowy, tak jakbyście ze mną rozmawiały – powiedziała nauczycielka.

Jej przyjaciółka sprzed lat, także sprzedana do domu Matsuei w Yoshiwarze, w zawiniątku z ubraniami zabrała z domu *Zbiór pieśni dawnych i współczesnych* oraz inne pozycje klasycznej literatury – pamiątki po swojej zmarłej matce. Czytała je codziennie, były dla niej jak latarnia, którą oświetlała sobie drogę, pokonując ocean cierpienia. Gdy miała już niespełna rok do odzyskania wolności, zakochał się w niej pewien absolwent Cesarskiego Uniwersytetu Tokijskiego, syn dawnego samuraja z Tosy. Wzięli ślub i wyjechali razem do Niemiec. Ciekawe, jakie wiodła teraz życie.

– Nie dajmy się złamać – powtarzały sobie, wymieniając się książkami.

Oderwała wzrok od okna i spojrzała ku ławkom swoich uczennic, wracając myślami z odległej przeszłości. Ichi Aoi skończyła pisać i podała jej kartkę. Zawsze robiła to takim gestem, jakby rzucała nauczycielce wyzwanie.

„Taka mała, a taka dumna”.

Ichi Aoi

15 maja

Zapomniałam sandałów  
Usłyszałam że pies jestem albo kot  
Mā i tā  
u nas na wyspie chodzom boso  
ja chodze tu w sandałach  
czy sandały robio z człowieka człowieka?

Nauczycielka skończyła czytać i spojrzała na Ichi. Oczyma wyobraźni widziała za nią sylwetki wyspiarskiego małżeństwa, które niemal całe dni spędzało półnago.

Milczała. Nie wiedziała, jak mogłaby to skomentować. Natychmiast domyśliła się za to jednego: że akurat ta dziewczynka potrafi samodzielnie myśleć.



Zajęcia kończyły się o trzeciej trzydzięci. Później do szóstej kobiety miały czas na łaźnię i staranne przygotowanie się do pracy.

Właśnie o tej porze Ichi wywołała zamieszanie.

Po powrocie jak zwykle poszła prosto do kwatery oiran, by się pokłonić. Jeszcze do niedawna wydawała z siebie jedynie dwie sylaby podobne do gdakania, teraz natomiast potrafiła już niemal jak człowiek przywitać się i powiedzieć, że wróciła ze szkoły.

Gdy odsunęła papierowe shōji, pani Shinonome leżała akurat z szeroko rozchylonymi udami, a pani Murasaki, druga oiran, skubała jej łono. Na widok idealnie białych,

długich nagich nóg swojej mentorki Ichi aż krzyknęła i czym prędzej zawróciła, by wyjść z powrotem na korytarz.

Pani Shinonome przywołała ją gestem, nie unosząc się z posłania.

– Siadaj, siadaj i patrz – powiedziała z wesołym uśmiechem.

– Tak, psze pani – mruknęła Ichi, siadając.

Jak wyjaśniła oiran, kobieta musi dbać nie tylko o twarz. Gęste owłosienie w dolnych rejonach ciała nie tylko wygląda odpychająco, lecz także utrudnia sam akt. Szorstką skórą po goleniu brzytwą można podrażnić klienta, dlatego najlepiej używać pincety.

Przy każdym włosku marszczyła brwi z cichym „A!” czy też „Ugh!”, nie przestając jednak mówić. Pani Murasaki wprawnymi ruchami wyrywała je jeden za drugim.

Ichi widok ten przypominał nagle, jak na wyspie dorosli naprawiali sieci na plaży. Rozciągali je, by wyschły, i wszyscy pilnie zszywali wszelkie rozdarcia – by nie tracić cennego połowu. Patrzyła, zastanawiając się, czy rybacka sieć i krocze pani Shinonome to to samo.

Na koniec pani Murasaki zostawiła jedynie rzadką kępkę na samym wzgórku.

– Czysta elegancja – pokiwała głową z zadowoleniem.

Łyse genitalia oiran wyglądały jak biały kalmar, a rzadkie włoski u góry przypominały rzęsy. Było to trochę obrzydliwe.

Pani Shinonome wstała. Jedną ręką poprawiała zmierzwione włosy, gdy nagle spojrzała na Ichi, jakby coś przyszło jej do głowy. Dziewczyna się wzdrygnęła. Miała złe przeczucia.

– Wiem! Teraz ty pokaż, co tam masz. Nie sprawdzałam jeszcze, ale na głowie masz takie czarne, że na dole to pewnie horror. – Chwyliła ją delikatnie. – Połóż się tutaj, śmiało.

Ichi odskoczyła.

– Nie chcę.

– Wolisz, żeby Otoku powyrywała ci z całej siły?

Pani Murasaki złapała pincetę i pociągnęła dziewczynę za przegub. Samej trudno się wyskubać, do tego łatwo zrobić sobie krzywdę – dlatego kobiety zwykle prosiły koleżanki o pomoc.

– Puszczaj! Nie dotykaj mnie! – krzyknęła Ichi w swoim dialekcie.

Pani Murasaki sprowadziła ją na podłogę z siłą, jakiej trudno było się spodziewać po smukłych ramionach uśmiechniętej oiran. Potem we dwie z panią Shinonome położyły dziewczynę na plecach, rozwarły jej uda i przytrzymały każda jedną nogę.

– Kō! Kē! – zarzęziła Ichi, jakby ją kto zaduszał, a potem wrzasnęła po swojemu niczym dziki zwierz: – Co robicie?!

Lewą nogą z całej siły kopnęła jedną oiran w twarz, prawą gruchnęła swoją mistrzynię w klatkę piersiową, po czym zerwała się jak sprężyna i wyleciała na korytarz z rozchełstany przodem kimona. Gdy zbiegała na parter, dudniąc stopami po schodach, z piętra dobiegł krzyk pani Murasaki:

– Kojika ucieka!

Po kopniaku zaprawionej w pływaniu wyspiarki jej policzek natychmiast spuchł na czerwono. Pani Shinono-

me leżała bez ruchu na podłodze, przewrócona siłą ciosu. U dołu schodów stał już postawny buchalter, który wyszedł z biura, zdziwiony szamotaniną na górze. Ichi wpadła prosto na niego, szybko złapał ją od tyłu pod ramiona.

To jednak nie wystarczyło, by ją spacyfikować. Natychmiast zatopiła zęby w jego rękę, a gdy krzyknął z bólu, rzuciła się bosą do ucieczki. Zatrudnieni w przybytku mężczyźni złapali ją u wyjścia i przywiązali do filaru w jadalni.

Kopnięta w klatkę piersiową pani Shinonome przez dłuższą chwilę nie mogła złapać tchu, co samo w sobie wzbudziło panikę. Posłano po lekarza, który orzekł, że jej zdrowiu na szczęście nic nie zagraża. Mimo wszystko i ona, i pani Murasaki – dwie najpopularniejsze oiran – musiały odwołać klientów. Gdyby któraś z nich na przykład złamała żebro, straty osiągnęłyby astronomiczne rozmiary.

Buchalter zaraz zawiadomił przełożonych o brutalnym wybryku, jakiego trudno było spodziewać się po mądrej dziewczynce.

Niebawem zjawił się sam Mohei Hajima. Dostała od niego po twarzy cztery czy pięć razy, pięścią. Nie wstrzymywał ręki. W oczach miał ogień. Ichi kręciło się w głowie.

– Słuchaj uważnie – wrzasnął jej do ucha. – Przysięgam, że jeśli natychmiast nie zaczniesz robić, co się do ciebie mówi, to nie umrzesz w swoim łóżku.

Nie były to czcze pogróżki – bunt piętnastoletniej dziewczynki sprawił, że Hajima co najmniej w połowie mówił poważnie. Potem rozwiązano pęta, na których Ichi zwisała bezwładna ze zmęczenia. Jej ciało stanowiło cenny towar, którego nie wolno było uszkodzić ani odrobinę bardziej.

